

## **Robert Piłat: Poszukiwanie duszy. Wspomnienie o Wandzie Póltawskiej**

Wanda Póltawska zrozumiała swoją misję bardzo wcześnie, kiedy jako młoda dziewczyna zobaczyła w czasie wojny okrucieństwo i pogardę dla człowieka w skali nigdy nie znanej, wstrząsającej myślowymi i duchowymi podstawami naszej cywilizacji. Stąd jej wrażliwość na najmniejsze ślady tego koszmaru w czasach pokoju – pisze prof. Robert Piłat we wspomnieniu o Wandzie Póltawskiej.

W jednej z ostatnich naszych rozmów Wanda Póltawska opowiedziała o kilku trudnych przypadkach, z jakimi zetknęła się w swojej praktyce doradzania małżeńskim parom. Z ożywieniem analizowała sprawy, wydawało się beznadziejne, a przecież znalazły szczęśliwy finał. Jakimi siłami dokonuje się taka naprawa? – dociekałem. I tu padły słowa, które uderzały krystalicznie jasnym sensem: „trzeba szukać duszy”. Pani Wanda wyrażała się czasem w tak zwięzły sposób, ale nawet w najpóźniejszych latach, miała głęboką świadomość całej rozmowy i mówiła dokładnie to, co było potrzebne. Nasze najważniejsze decyzje zapadają na głębokim poziomie naszej osobowej struktury, stąd częste poczucie, że sprawy są przesądzone, zanim na dobre staną się przedmiotem deliberacji czy rozmowy. Niektórych wprowadza to w stan wiecznej podejrzliwości i zwątpienia: sądzą, że natura ludzka oparta jest na przewrotnej logice pragnienia i nigdy nie dojdziemy z nią do ładu. Ale nie dla dr. Póltawskiej. Dusza jest człowiekowi darowana wraz ze zdolnością obcowania z nią, rozeznania, co dla niej dobre. Dbanie o duszę, o którym pisali dawni pisarze, jest zachowaniem w zdrowiu tej

części nas samych, która działa w naszych najważniejszych decyzjach. Bez utrzymania owej najgłębszej kompetencji obcowania z własną duszą nasze wysiłki intelektualne w dziedzinie psychologii, psychiatrii czy wreszcie filozofii byłyby skazane na niepowodzenie.

W jaki sposób trzeba szukać duszy? Nie ma jednego sposobu. Warunkiem koniecznym była dla niej wiara i modlitwa, bo dzięki nim człowiek pojawia się sobie jako istota stworzona – całkowity byt, od którego powołania i godności wszystko się zaczyna. Nie jest rzeczą trywialną odwołać się do własnego człowieczeństwa. Ci, którzy, jak Wanda Półtawska, przeszli przez obozowe piekło, wiedzą o tym doskonale. W czasach najstraszniejszej redukcji człowieka do rzeczy odwołanie się do własnego człowieczeństwa było najwyższym osiągnięciem, instrumentem godności i przetrwania. Ta lekcja, o której pisała w obozowych wspomnieniach, działała w niej przez całe życie. Jednym z jej przejawów był jej stosunek do pracy czysto intelektualnej. Wspominała okresy, kiedy jej przyjaciel, mentor duchowy i współpracownik, Karol Wojtyła oddawał się intensywnej pracy umysłowej, czy to pisząc rozprawy filozoficzne, czy to, już jako papież Jan Paweł II, pracując nad encyklikami. Zawsze zaczynał od modlitwy – wspominała, dodając coś, co dla mnie zajmującego się filozofią, było niełatwe do przełknięcia: „filozofować trzeba na kolanach”. Ale z czasem zrozumiałem, że trzeba tę jej wypowiedź rozumieć w kontekście dbałości o duszę. Intelkt wymaga dyscypliny, na którą pracuje cały zestaw cnót, a także wrażliwość i troskliwość, a jednak nie wytworzyłyby one żadnego ładu, gdyby nie odniesienie do duszy, obejmującej całość człowieka.

Okazjonalne, a przecież mocno zapadające w pamięć rozmowy z Wandą Póltawską, miały miejsce w ciągu niemal czterdziestu lat przy okazji odwiedzin jej męża, profesora Andrzeja Póltawskiego. Tyle lat trwało nasze osobliwe seminarium rozpoczęte na uczelni w latach osiemdziesiątych, przemienione w spotkania doktoranta z jego promotorem, a potem w dekady przyjaźni i filozoficznego sojuszu, niepomnego ani na różnice temperamentów, ani na okazjonalnie rozbieżne opinie czy zainteresowania. Jako filozof Andrzej Póltawski przeszedł ewolucję od technicznych zainteresowań fenomenologią Edmunda Husserla do oryginalnej wizji antropologicznej zainspirowanej głównie dorobkiem swego przyjaciela Karola Wojtyły i niemieckiego filozofa Robert Spaemanna. Punktem wyjścia w myśleniu jest całość świata i człowieka. Jest ona pierwotną daną życia, pracuje w nas, dając punkt odniesienia i kryteria oceny wysiłków poznawczych. To była jego filozoficzna wersja dbałości o duszę, o prymat całego człowieka ujętego w Bożej perspektywie, istoty o jasnym powołaniu – do zbawienia.

Andrzej Póltawski był głęboko zaangażowany w pracę swojej żony, podróżował z nią na liczne konferencje upamiętniające ofiary Ravensbrück, pomagał w redakcji tekstów, wygłaszał odczyty – na wiele sposobów wspierał jej zabiegi o bezwzględny szacunek do życia i o mocne fundamenty Kościoła. Wielokrotnie dawał pierwszeństwo jej powołaniu przed własnym. A Wanda Póltawska zrozumiała swoją misję bardzo wcześnie, kiedy jako młoda dziewczyna zobaczyła w czasie wojny okrucieństwo i pogardę dla człowieka w skali nigdy nie znanej, wstrząsającej myślowymi i duchowymi podstawami naszej cywilizacji. Stąd jej wrażliwość na najmniejsze ślady tego koszmaru w czasach pokoju. Każdy przejaw instrumentalizacji życia, podporządkowania go pomniejszonym wartościom, każde przedkładanie jakiejś części ludzkiego

życia nad jego całość, budziła jej sprzeciw. A ponieważ jej siła była równa jej przerażeniu złem, działała nieustępliwie, mocno, wyraźnie. Stała się szybko postacią publiczną, porzucając odosobnienie psychiatrycznej kliniki, podejmując eksponowane, publiczne obowiązki w watykańskiej Papieskiej Radzie ds. Rodziny. Kiedy trzeba, oskarżała, ale wyrażenie „cywilizacja śmierci” było w jej ustach wyrazem własnego doświadczenia, a nie retorycznym instrumentem, mającym pognać ideologicznego przeciwnika. Nie chodziło jej o kłótnię światopoglądową, lecz o sięgnięcie do silnych pryncypiów w dziele pomagania ludziom. Pamiętam liczne jej opowieści pokazujące, jak wiele dało się osiągnąć z zagubionymi ludźmi przez zwykłe przywołanie ich do porządku, przez wprowadzenie ładu w rozrywające ich sprzeczne tendencje i siły. Przypominała im po prostu kim są.

*Nieraz pokazywało się tu  
wspaniałe poczucie humoru  
Wandy Półtawskiej, ironiczny  
dystans, którego utrzymanie  
w kontekście jej misji wydaje  
mi się najwyższym  
osiągnięciem*

Wanda Półtawska była osobą, o której Immanuel Kant pisał, że budzą szacunek przez to, że stawiają nam przed oczami prawo moralne i czynem wykazują jego osiągalność. To

stawianie prawa przed oczami nie musiało być strasznie poważne. Nieraz pokazywało się tu wspaniałe poczucie humoru Wandy Półtawskiej, ironiczny dystans, którego utrzymanie w kontekście jej misji wydaje mi się najwyższym osiągnięciem. Dawno temu odwiedziłem Andrzeja Półtawskiego w Krakowie po drodze w Tatry. Pani Wanda jechała właśnie w okolice Zakopanego ze swoim kierowcą i zabrała mnie ze sobą. Wygląd mój był właściwy tamtym czasom i mojej

młodości: długowłosy, nieogolony, w dziwnej kombinacji ubrań. W centrum Zakopanego chciałem wysiąść, ponieważ Pani Wanda jechała w inną stronę. Powiedziałem, że dalej pojedę autostopem, na co ona: „a kto pana weźmie z takim wyglądem!”. I odwiozła mnie pod same drzwi gospodarzy w Kirach. Pamiętam też jej maleńką interwencję w rozmowie, którą zacząłem od wyrażenia „moja córka...”, na co natychmiast zareagowała: „Nasza córka. Córka nie jest tylko pana”. Innym znów razem chciałem się pochwalić, że przeczytałem jednym tchem jej książkę *Beskidzkie rekolekcje*, na co usłyszałem: „To bardzo źle. Po co ten pośpiech? A gdzie myślenie?”. Była szybka w reakcjach i dosadna, przywoływała do porządku, ale nigdy nie wzbudziła we mnie odczucia przemocy. Jej ingerencje przechodziły bowiem niezauważalnie w głos samowiedzy. Do dziś zastanawiam się nad tą jej zdolnością i sądzę, że tajemnica tkwiła w jej charakterze.

Na początku XIX wieku William Hazlitt napisał o Szekspirze, że oddział on za pomocą tworzonych przez siebie charakterów. Poeta potrafił je ulepić z niewielu słów i scen. W charakterze skupia się jedność człowieka. Można powiedzieć, że jest on człowieczeństwem skondensowanym w sposób niepowtarzalny w danej jednostce. Prawda ta dotyczy nie tylko powszechnie znanych głównych postaci jego sztuk, ale zapadających w pamięć postaci drugoplanowych. W *Ryszardzie III* królowa Małgorzata staje się dla Ryszarda głosem sumienia. Przepowiada, że przebudzone sumienie spowoduje upadek tyrana. Za jej głosem sprzeciwu nie stoi żadna polityczna siła, a jedynie jej charakter. Ryszard może ją zgładzić w każdej chwili, lecz tego nie czyni, powściągnięty niewidoczną siłą. Widzę dziś Wandę Półtawską jako współczesny odpowiednik szekspirowskiej królowej, nieustraszonego głosu sumienia, dla którego jedynym pancerzem w ponurych czasach jest siła

charakteru. Nie jest on zbiorem cech i nawyków, lecz oknem, przez które patrzy się na świat. Przez to okno osoby takie, jak Wanda Półtawska, widzą świat lepiej i czyściej.

Charakteru nie kształtują ciężkie czasy i przeżycia, te bowiem o wiele częściej te charaktery łamią – czyni to świadomy wysiłek. Przed laty odwiedziłem profesora Półtawskiego na małej łączce nad Wisłokiem, na której w starym domku campingowym bez wygod spędzał letnie tygodnie. Opowiedział mi o roli tej łączki w życiu jego i Wandy. Tu właśnie przyjeżdżali pod namiot w towarzystwie Karola Wojtyły, który na zaimprovizowanym między ich namiotami ołtarzu odprawiał msze święte, kąpali się w zimnej rzece, gotowali na ognisku, w deszczowe dni siedzieli w namiocie, czytając i dyskutując godzinami. Zapytałem o żonę, wiedząc, że i ona tu przebywa, lecz usłyszałem, że nie spotykam jej, ponieważ „tu jest dla niej za wygodnie” – jest mała chatka wysoko w lesie po drugiej stronie rzeki, gdzie spędza te dni, studiując, modląc się. A oboje dobiegli już wtedy dziewięćdziesiątki. Między nami i niewidoczną chatką pieniała się górską rzeka – przez większość czasu niemożliwa do przejścia, z bardzo odległym mostem. I rozmyślałem o tym, gdzie jest jej umysł, skąd bierze siłę.

*Budowanie charakteru jest wielkim zadaniem w dzisiejszym świecie. To jedno z najważniejszych przesłań Wandy Półtawskiej*

Budowanie charakteru jest wielkim zadaniem w dzisiejszym świecie. To jedno z najważniejszych przesłań Wandy Półtawskiej.

Widziała to zadanie bardzo konkretnie jako zdolność do wypełnienia

indywidualnych powołań. Czasem są one po prostu godnym i odpowiedzialnym wypełnieniem ról społecznych. Dwie takie role często pojawiały się w naszych rozmowach: mężczyzny i kapłana. Wanda Półtawska uważała, że nasze czasy cechuje głęboki kryzys męskości i kapłaństwa. W doradzaniu małżeństwom często dochodziła do wniosku, że u podstaw kryzysu leży ucieczka mężczyzny od jego powołania: nie rozumie go, nie ma siły, nie czuje z żadnej strony zachęty do wysiłku, wydaje mu się, że na drodze wymuszonych wysiłków traci życie. Przypominała więc mężczyznom o ich powołaniu. Nie bierze się ono z arbitralnego czy ślepo wzorowanego na tradycji podziału ról, ale z tej głębszej prawdy, że żyjemy na tym świecie jako konkretni ludzie, a nie jako dowolne realizacje idei człowieczeństwa. Charakter i powołanie są przygodnymi prawdami o tym konkretnym istnieniu, podstawą osobowych tożsamości. W związku z kryzysem męskości Wanda Półtawska miała też coś ważnego do powiedzenia kobietom i sama przyznawała, że nie zawsze chciały one słuchać jej słów: „pomóżcie im być mężczyznami!”. Trudna to nauka, bo szczególnie w warunkach kryzysu osobistego, rodzinnego, społecznego skupiamy się raczej na doznanych krzywdach, niezaspokojonych potrzebach. Nonsens – mówiła pani Wanda – tu trzeba wysiłku, wspartego modlitwą, a nie użalania się nad sobą. I trzeba przyznać, że miała zawsze na podorędziu przykłady ilustrujące skuteczność tego podejścia.

Podobnie myślała Wanda Półtawska o kapłaństwie. Uważała zresztą te dwa problemy: męskości i kapłaństwa, za powiązane. Światu brakuje kapłanów – mówiła. Nie są oni właściwie kształtowani w duchu zobowiązań, służby, wysiłku. Nie poprzestawała jednak na utyskiwaniu: zawsze potrafiła wymienić kapłanów budzących jej najwyższy

szacunek. Z wieloma blisko się przyjaźniła, ale też wielu ugodziła swoim bezkompromisowym przypominaniem tego, co ważne, niezbyt delikatnym budzeniem z drzemki. Myślę, że potem byli jej wdzięczni.

Kiedy wiek sprawił, że częściej można było zastać panią Wandę w domu, wykształcił się pewien rytuał. Pierwsze dwie godziny miały zawsze na osobnej rozmowie z Andrzejem Półtawskim o filozofii. Zamykaliśmy się w jego pokoju na naszych małych seminariach, najczęściej we trójkę – z innym filozofem z dawnego seminaryjnego kręgu, profesorem Markiem Maciejczakiem. Tu opowiadaliśmy o ostatnich pracach, komentowaliśmy książki, formułowaliśmy filozoficzne imperatywy i plany, trochę plotkowaliśmy i utyskiwaliśmy nad losami uniwersytetu. Przychodził jednak moment znużenia i wtedy, z nieomylnym wyczuciem, nasz profesor mówił: „przejdźmy może teraz do pokoju Żony, ona już na nas czeka”. Witaa nas słowami: „O, przyjechali chłopcy! Andrzej zawsze tak się cieszy na wasze odwiedziny”. A ci chłopcy, najpierw trzydziestoletni, potem czterdziesto- i pięćdziesięcio-, a wreszcie sześćdziesięcioletni zasiadali wzruszeni wokół okrągłego stolika. Pani Wanda wyciągała jeden ze swoich pysznych koniaków, a czasem nalewkę Centerba z włoskiej Abruzji, która kojarzyła jej się z ukochanym ojcem Pio. I kosztując tych smakowitości, słuchaliśmy jej opowieści o zdumiewających ludzkich przypadkach, uwag o wyzwaniach współczesności i mądrości Kościoła. I zawsze pojawiał się ten lub inny żart o filozofii, że czasem trzeba przestać myśleć i napić się koniak, albo że myśląc, trzeba pamiętać o działaniu. Separowała te dziedziny, jak odseparowane były pokoje, w których rozmawialiśmy. Ale czyniła to z szacunkiem. I więcej jeszcze: w jakiś sposób dostarczała nam, a przede wszystkim swojemu mężowi filozofowi, zewnętrznego spojrzenia, do którego filozofowie nie zawsze są zdolni, zajęci tym, co widać tylko wewnątrz ich dyskursu. Dopiero pod łagodnie ironicznym okiem zewnętrznego świadka filozofia

zyskuje żywe miejsca w świecie i prawdziwą godność. Wanda Półtawska była świadkiem wielu rzeczy: najgorszych i najlepszych, i była tym świadkiem dla wielu. Przypominała nam, kim jesteśmy i jakie jest nasze powołanie. Tym się zajmowała i była to wielka praca, wymagająca ponad stu lat, które były jej dane.

*Robert Piłat*

*fot. Paweł Terlikowski/FORUM*

*MN*